

Przyłądek zmienił Wrocław

Każdy człowiek ma potrzebę czynienia czegoś dobrego. Tylko się gubimy w codzienności, gdy biegniemy do pracy, gdy nie mamy czasu nawet dla swoich najbliższych

KORNELIA BŁOWICKA-WOLF



ROZMOWA Z AGNIESZKA ALEKSANDROWICZ-ZDRAL

prezeską Fundacji
na **Ratunek Dzieciom**
z **Chorobą Nowotworową**

MICHAŁ KARBOWIAK: Szybomska? **AGNIESZKA ALEKSANDROWICZ-ZDRAL:**

O tak, czytam jej poezję od 14. roku życia. Obowiązkowo jeden z tomików zawsze leży koło mojego łóżka.

„Ktoś tu był i był, a potem nagle zniknął i uporczywie go nie ma” pomaga zrozumieć, dlaczego małe dzieci umierają?

- Trudno to zrozumieć. I nie można się z tym pogodzić. Takiej zgody na śmierć dziecka nie było we mnie nigdy, nawet przez sekundę.

Myśli pani o dzieciach, których „uporczywie nie ma”?

- Tak, czasem je wspominam. Szczególnie te dzieci, z którymi znaliśmy się nieco bliżej. Pamiętam szczególnie swojego pierwszego podopiecznego, Romka. Miał 19 lat. Kontaktowy, błyskotliwy, zaangażowany. Jak przyjeżdżała telewizja, to oprowadzał dziennikarzy po klinice przy Bujwida, opowiadał o swoim życiu na oddziale. Brał udział w pierwszych filmach promocyjnych fundacji, mówił, jak bardzo potrzebny jest **Przyłądek Nadziei**.

I jego otwarcia nie doczekał.

- Jak wiele innych dzieci... Kiedy dociera do nas taka wiadomość, na chwilę w biurze fundacji zapada przejmująca cisza. Jest nam potwornie smutno. Potem zaczynamy o tym rozmawiać, wspominając różne sytuacje, rodzinę, miłe chwile, jakoś próbować zrozumieć... Ale chyba ucieczka w pracę jest dla nas najlepszym sposobem. Nie rozpamiętujemy bez końca, tylko działamy. Robimy wszystko, aby zapobiec odejściom kolejnych dzieci.

Była pani na pogrzebie Romka?

- Jestem w fundacji sześć lat, ale nie byłam na pogrzebie żadnego naszego dziecka. Chyba nie chcę się z nimi tak żegnać. W moim gabinecie wisi kilka zdjęć dzieci, których już tu z nami nie ma. Mam jednak głęboką wiarę, że w jakiś sposób są wciąż blisko nas. Chyba po półtora roku pracy miałam krótką chwilę zwątpienia, że mimo wszelkich naszych wysiłków, organizowania funduszy, sprowadzania dro-

gocennych leków niektóre dzieci jednak przegrywają walkę o życie. Takie przeżycia w naszej pracy mają zupełnie inną wagę niż nawet najtrudniejsze porażki w biznesie.

Dlaczego nie rzuciła pani tego wszystkiego w diabły?

- Nie mogłam, nie umiałam się poddać. Chciałam pomagać szybciej, lepiej, więcej. Efektywniej i jeszcze skuteczniej. Tak, aby nigdy nie odmówić pomocy choćby jednemu podopiecznemu. „Nasze dzieci”, bo tak o nich myślimy, mają takie same marzenia i pragnienia jak te zdrowe. Może są nieco bardziej blade, może mają mniej włosów i sił. Ale też uwielbiają święta, chcą jeździć na rowerze czy zwyczajnie pobrykać. I właśnie te dzielne dzieciaki sprawiają, że wszyscy mamy poczucie, że nasza praca ma sens. Większy niż wszystko, co robiliśmy zawodowo do tej pory.

Zanim trafiła pani na Bujwida, pracowała w Europejskim Funduszu Leasingowym w ramach Credit Agricole.

- Byłam odpowiedzialna za komunikację wewnętrzną w dużej korporacji. Wysyłałam informacje, plany, komunikowałam strategię, redagowałam firmowy kwartalnik. Organizowałam spotkania z udziałem najważniejszych ludzi w firmie. I robiłam różne eventy, wręczałam tam m.in. nagrody dla najlepszych pracowników. Lubilałam swoją pracę. Fajny, wygodny, bezpieczny świat.

Więc dlaczego z niego pani zrezygnowała?

- Z kliniką zetknęłam się po raz pierwszy, pracując jeszcze w poprzedniej firmie. Udało mi się uzyskać zgodę zarządu, aby z okazji Bożego Narodzenia pracownicy mogli spełnić marzenia bardzo chorych dzieci. W szpitalu trafiłam na wspaniałego człowieka - prof. Bernardę Kazanowską, wybitnego lekarza kliniki. Poprosiłam, aby pani profesor pomogła nam wybrać tych małych pacjentów, dla których świąteczna radość z prezentu będzie miała szczególne znaczenie. Pani profesor jest lekarzem z powołania, zna i rozumie swoich pacjentów, są jej bliscy, więc bez wahania zaproponowała kilkoro z nich. To były dzieci w bardzo ciężkim stanie, niektóre terminalne i dodatkowo pokrzywdzone przez los. I opowiedziała mi takie historie, że nie wiedziałam, jak ogłosić tę akcję w firmie. Choćby o dziewczynce, która właśnie została sama, bo jej mama zmarła... też na raka. O chłopcu z paskudną wznową z domu dziecka, który stracił siły i nadzieję. Zastanawiałam się, jak ja to przyniosę do korporacji - eleganckiego świata biznesu. Moje koleżanki i koledzy wiedli raczej udane życie, byli zadbani, planowali wakacje... po korytarzach biurowca snuł się miły zapach kawy i perfum. Te historie były tak zupełnie inne od naszego świata.

I?

- Gdy wysyłałam do wszystkich pracowników komunikat z prośbą o włączenie się do akcji, skrzynka pocztowa zapchała mi się w minutę i siadł serwer. Kolega zadeklarował, że kupi wymarzoną lalkę, drugi aparat fotograficzny, trzeci upragnione playstation. Wszyscy pytali mnie, czy tam nie ma jeszcze innych dzieci, którym można byłoby pomóc. Chyba